Miesięcznik Literacki

listopad 1942

M I E S I Ę C Z N I K   L I T E R A C K I

L I S T O P A D .
1 9 4 2

TRADYCJA A PRZYSZŁOSC

Nie należy się dziwić,że w przedłużających się nad wszelkie spodziewanie latach wojennych,mysl tych piszących,którzy te lata przebywają w kraju,sięga przede wszystkim do problemów całkiem zasadniczych,ogólnych,tych jakie rzadko pojawiają się pod piórem,kiedy to pióro szło w osnowie pokoju i zycia normalnego.Rozerwany został cały bieg zycia literackiego,potargana została tkanina żywotna sądów,obozów,osob,jednym wielkim wichrem wyssana została z płuc naszych cała atmosfera działalnosci kulturalnej.Jest cos wzruszającego,gdy bierze się dzisiaj do ręki ostatnie,w pierwszy,drugi dzień wojny nadchodzące jeszcze jedyną pocztą wojenną numery pism literackich,gdy czytać ich nadzieje i zabiegi zwykłe,gdy słuchać jak w szeleszczących i zżółkłych stronicach szepce wulkan,którego wielkosci i potwornosci nikt nie przeczuwał.
Są jak swobodny krok dziecka,nieswiadomego przepasci,krok wiary i ufnosci.Dzisiaj tej ufnosci nie mamy za złe,chociaż drażniła zrazu. Dzisiaj widziana krwawi tylko wciąż,jak ramię ucięte,krwawi wspomnieniem ludzi i głosów,których nie usłyszymy nigdy.
Pasmo tamtego czasu i tamtych prac naszych zostało przecięte,nie lękajmy się banalnego obrazu,doprawdy przecięte mieczem.I dlatego wszystkie prawie mysli nasze utraciły swoje paliwo onegdajsze.Nie ukazują się nowe książki,by móc do nich nawiązywać,nie rozkrzewiają się spory i dyskusje,by móc je inaugurować lub uczestniczyć.Nie ujawniają badacze nowych rysów przeszłości,by nad nimi przystawać i pytać o słuszność.W tym ubóstwie przymusowym pozostały nam tylko bogactwa,jakie bez podniet codziennych przechowuje każdy - pytania o główne perspektywy duchowe naszych przeżyć,spodziewania nie ramowe i nie osób tyczące lecz spraw.
Lecz ramię przecięte nie zostało ramieniem martwym.Im bliżej końca wojny,tym częściej nowym wzruszeniem i czekaniem powstaje w wyobraźni dzień,kiedy znów zaszeleszczą stronice,kiedy znów pocznie się splatać pasmo żywotnosci kulturalnej.Papier będzie lichy i kruchy, szeregi nasze staną przerzedzone.Lecz któż nie pamięta,że najszlachetniejsze bywają siewy i winnice właśnie na zgorzelisku i popiele wulkanów,i któż zabroni oddawać się spodziewaniu,że siew duchowy tej wojny nie wyłoni się spod tej nadziei?A ponieważ bliżej nam do spełnienia tej nadziei,aniżeli do wspomnień przedwojennych,bliżej niepomiernie,czas przygotowywać się na ten dzień.Czas począć snuć postaw skromny,ubogi,na jaki stać w tej dobie.Te stronice próbują tego zadania na gruncie krakowskim,pragną być świadectwem żywotności tego najbardziej deptanego i poniżanego miasta.
W tych myslach zasadniczych jednym z wielu problemow,które nabrały żywotnosci jest sprawa tradycji.Kwestia stosunku do bezpośredniej tradycji międzywojennego dwudziestolecia i stosunku do tradycji dawniejszej,tej której się słusznie i już z wieku to miano należy.Problem ten w chwilach zwrotów i przełomów jest zupełnie powszedni.Zawsze w takich momentach wyłania się pytanie o prawdziwych przodków nowego wątku myślowego i artystycznego,pytanie o istotne następstwo humanistyczne.Jest bowiem złudzeniem mechanicznym,by okresy i pokolenia bezpośrednio po sobie idące w czasie,tak samo bezpośrednio po sobie wyrastały w zależnosci i rozwoju humanistycznym.Stare to i powszechne zjawisko przemiennosci,na tym polegającej,że nowi tylko z pozoru idą po swych bezpośrednich poprzednikach,a właściwie bliżsi są dziadom swoim - to przeciwstawne ogniwo stanowi twórczą niespodziankę wszelkiej ewolucji.Chwytając nici trzymane przez poprzedni-

ników, ujmujemy je zazwyczaj gdzieindziej, nie tam gdzie jeszcze znaczy się ślad i dłoń.

To powszechne zjawisko szukania nowej tradycji nabiera, mniemam sądzić, dzisiaj świeżej barwy właśnie ze względu na dźwięk i znaczenie samego tradycja. Warto się przeto nad tym pojęciem i jego użytkowaniem w kulturze i literaturze polskiej zastanowić nieco. Przede wszystkim dla wyraźności wywodów sprecyzujmy ten problem. Przed pisarzem stają zazwyczaj dwie odmiany tradycji: jest tradycja problemowa, jest specjalnie w danej literaturze częsty sposób stawiania i rozwiązywania lub też nie stawiania wogóle zagadnień, jest nadto tradycja artystyczna, jako pamięć o tych formach i prądach artystycznych, które w biegu historii literackiej danego kraju okazały się najsprawniejsze poetycko. Bardziej stałą ciągłość tradycja problemowa. Mocniejszym wahaniom ulega tradycja artystyczna, albowiem każda przemiana pisarska jest na miejscu pierwszym walką o nowy wyraz. Dopiero w perspektywie czasu tradycja druga ukazuje swoją trwałość i ciągłość, większą niżeli się przypuszcza. O obydwu tradycjach będziemy mówić nie stawiając ich bynajmniej na równi, nie powiadając, że wybór jednej tradycji implikuje automatycznie wybór odpowiedniej formy drugiej. O tym ku końcowi rozważań. Narazie zgodzimy się, że my Polacy jesteśmy narodem bardzo łatwych tradycjonalistów. Szybkie obrastanie w naszek tradycji spraw i osób tej patyny niegodnych jest nader pospolitą przywarą naszych odczuć kulturalnych. Wystarczy, by jakieś widowisko, czy zgoła bal powtarzał się przez kilka lat z rzędu, a już staje się czymś tradycyjnym. Ów tradycyjny śledź górników, czy coś tego typu podobnie straszącego śmiesznym widmem upiora starej ciotki z lat międzywojennych.

Ten tradycjonalizm bowiem, to czcigodne i niekontrolowane zanurzanie w nadający omszałość sok przeszłości odpowiada kilku bardzo pospolitym nałogom naszego charakteru, a w konsekwencji cechom naszej ewolucji humanistycznej. Pierwsze to, że ten pośpieszny tradycjonalizm świetnie się godzi z naszym konserwatyzmem intelektualnym. Mało jest krajów, w których by wszelkie przemiany, zwłaszcza artystyczne dokonywały się tak opornie i z takim opóźnieniem, a natomiast tak skwapliwie wzdragały się raz zwyciężywszy przed jakąkolwiek rewizją. Droga od rewolucjonizmu artystycznego do legitymizmu, ba, do marzeń dynastycznych jest u nas niezwykle krótka. Stąd powszechne spóźnienie, stąd dobieganie do europejskiego szeregu. By jeden tylko wziąć przykład, świeżego chowu: nasz futuryzm czy formizm, gdzieindziej gotów przed rokiem 1914 , u nas wiadomo kiedy. Bo kiedy w świecie już dojrzeli i otrzymali głos ci następcy symbolizmu, u nas nastrojowość modernistyczna była jeszcze prawem. Płyny w polskiej butli artystycznej nawet kiedy burzą się same, dopiero historia musi nimi potrząsać lub zgoła butlę rozbijać.

Ten tradycjonalizm i konserwatyzm duchowy styka się bowiem blisko, wynika w mierze pewnej z naszej nadmiernej wrażliwości osobistej, z poczucia nietykalności drażliwego i szybko zastygającego w zdobytych formułach. Konserwatyzm jest tylko przystrojeniem w obiektywne piórka posypane prochem przeszłości górującego przeświadczenia - noli tangere personam meam. Często miewam podejrzenie, obserwując pisarzy i artystów naszych, kiedy się już wybili i mogą narzucać swoją nietykalność, że marzyłaby się im właściwie jakaś Skałka, czy inne grobowisko zasłużonych, gdzie możnaby już za życia leżeć, być okadzanym i tradycyjnym, ale z grobowca książki wypuszczać w smugach kadzideł i mirry. A publiczność sama, zbyć się trudu również chętnie za życia do takich grobowców wkłada. Exemplum Wyspiański.

Cel tej wycieczki też ku końcowi rozważań będzie jawniejszy. Ten bowiem jest naturalnie w wielkim skrócie schematycznym, polski nałogowy i nawykowy tradycjonalizm artystyczny. Tym oporniej podążał sod-dawał się on przemianom, że na przestrzeni całej literatury porozbiorowej wątek problemowy przebiegał pod nim jeden i ten sam, umacniając tym samym naturalne ciążenie ku skostnieniu poetyckiemu. Dopiero odzyskanie niepodległości sprzęgło ze sobą możliwość innego spojrzenia na te obydwie formy tradycji. Do naturalnej w każdym pokoleniu chęci nowości artystycznej moment historyczny dołączył wówczas to, iż wydać się mogło, że tradycja problemowa znalazła nareszcie swoje ujście [illegible] potrzebie burz [illegible] strażników i żeglarzy.

Wiecznie było niepodległe państwo. Z drugiej głoszono, że nareszcie piśmiennictwu polskiemu zostają zdjęte więzy służby narodowej i społecznej, iż ono, wolne od prac dodatkowych zakwitnie świetnością czysto artystyczną, swobodną i europejską. Nie tylko Rydzki tę nadzieję głosiły, głosił ją Żeromski.

Istotnie, z wielu zapowiedzi dwudziestolecia ta jedna została dokonana. Tradycyjny nurt zainteresowań pisarskich, ten górujący u nas bez względu na epokę praktycyzm narodowy i społeczny został w większości zarzucony. Pisarze osiągnęli swobodę wyrazu, jaką mało który okres naszego piśmiennictwa im dawał. Osiągnęli aż do granicy wybryku i poza tą granicą. Dzisiaj tych lat dwudziestu jest już przeszłością i historią. Tradycja problemowa i artystyczna tego okresu stoi już przed sądem czasu. Przed nami zaś, którzy w drugiej Rzeczypospolitej prawem wieku mamy iść pierwsi, wznosi się dawna, ku służbie pisarskiej zmierzająca, tradycja problemowa, naprzeciw niej staje ta ostatnia i wyzwolona tradycja. Mamy dokonać wyboru. Ktoś nie zawaha się, ktoś nie namyśli po dwakroć, nim do sądu przystąpi.

Rozpocznijmy od twierdzenia niewątpliwego. Tradycja problemowa dwudziestolecia nie budzi w nikim entuzjazmu. – "Międzywojenne dwudziestolecie nie rozwiązało żadnego z problemów, ukazanych przez najlepsze polskie umysły i pióra. Pytania, które stały przed Mickiewiczem, Słowackim, Norwidem, stoją dziś przed nami, w zmienionej nieco formie, ale o niezmienionej istocie. Wydaje się, że poczucie ciągłości naszej kultury jest dzisiaj o wiele żywsze niż w roku 1918, kiedy zdobycie niepodległość przedstawiała się ludziom jako próg, dzielący raz na zawsze od roków niewoli i od dzieł, które były tej niewoli przejawem. Rzeczywistość wykazała, że wszelkie takie progi i przedziałki w życiu narodu są rzeczą wielce pozorną i że nie da się ominąć pewnych zagadnień, przewijających się czerwoną nicią poprzez karty naszych dziejów, jeżeli nie chce się wpaść w złudny spokój i upojenie mocarstwowym frazesem."

To nie moje słowa. Powtarzam jeden z rzadkich sądów, napisany pod okupacją, który zdołał do mnie dojść. Cytuję, albowiem doskonale zdania te ujmują niechęć i opór, powstający w nas, kiedy myślimy o tej stronie piśmiennictwa pierwszej Rzeczypospolitej. Bez żalu i bez poczucia, że krzywdzimy, sięgamy wstecz, przed to dwudziestolecie, do zagadnień, które wszystkim pokoleniom literackim porozbiorowym były wspólne i wiązały je ponad różnice. Wielka problematyka okresu romantycznego, pozytywistycznego i neoromantycznego jest nadal aktualna, nie czujemy zblaknięcia głoszonego przez dwudziestolecie.

Kosztem tej niewątpliwej prawdy gotowe się jednak rozkrzewić różne pół i ćwierć prawdeczki lub zgoła fałsze. Wstępuję w sferę, której przystał by patetyczna nazwa sfery proroctw. Jednakże tak jestem pewien, że wszystkie obawy, o których natych mowa jest, pojawią się zaraz po wojnie, że nie czuję wtych zdaniach nic profetycznego. Chyba, że logika znajomości błędów pospolitych być może profetyczną.

Wystarczy bowiem rzec u nas słowo za tradycją problemową w jej dosłownie tradycyjnym, powszechnym rozumieniu, by odrazu na grzbiecie tej tradycji wjeżdżały nieproszone wszystkie skostniałe nałogi konserwatyzmu artystycznego. Bo skoro ważność pytania o formę niepodległości, to dalejże patetyczna frazeologia à la Wyspiański, dalejże powtórka opiewania, rozgrzeszania, że pan z piór znów zostanie wyłoniony i tak dalej. Bo skoro naród cierpi, dalejże słodziarne i ogromne cierpiętnictwo liryczne, dalejże poezja patriotycznego frazesu. Wszystkie stare upiory, zgrane rekwizyty i szablony gotowe wkroczyć tą drogą.

I dlatego u samego progu wypada sytuację sprecyzować, a natrętów odpędzić. Niech nikt nie wyobraża sobie, że skoro tradycja problemów, to zaraz po wojnie będzie wyżywał nad plonem pisarskim tego czasu, że ponieważ, owszem, owszem, ale naród pragnie nowego Sienkiewicza. Naród chce być skrzepiony i żąda Kmicica z Zagłobą w Tobrugu, Narwiku i wszędzie. Ponieważ obecnie żołnierz polski też przechodził wiele przygód. Niech nikt nie dziwi się, że najprawdopodobniejszą kontynuacją tej tradycji może się okazać piśmiennictwo dalekie od popularnego budowania i krzepienia, dalekie od optymizmu, szarpiące i trudne do przyjęcia. Niechaj też nikt nie powiada, że Or-Ota i Słońskiego i piosenki wojskowej naród potrzebuje, a nie jakichś tam szukań nowego obrazowa-

nia,albowiem stać się może,że niestety potworność tych apokaliptycznych przejść ku wszystkiemu się nadaje,ale nie ku nutkom Dantego wygrywanego na fujarce,jak takie odmianki łatwego liryzmu nazywał Norwid.

Niechaj bowiem,i to jest niechaj najważniejsze,pamiętamy wszyscy,że właśnie gotowość sąsiedztwa duchowego z wielką problematyką nakłada najwyższe obowiązki artystyczne.I właśnie dlatego bacznie się będzie patrzeć na palce,ażeby nie było fałszerstw kosztem wielkich zagadnień i wielkich słów. Nie wolno ględzić na Synaju.O Przybyszewskim takie słowa rzekł niegdyś Tadeusz Żeleński.Te słowa wypada mieć przed oczyma,myśląc o bliskiej już przyszłości,kiedy będziemy mogli konkretnie w utworach i pracach dać świadectwo,ile z nowego stosunku do tradycji jest prawdą już spełnioną.

Ciągłość problemowa drugiej Rzeczypospolitej nie będzie wynikać z tradycji międzywojennego 20-lecia.To pewne.Lecz jak będą stawiane dawne zagadnienia stosunku między siłą moralną a siłą realną ojczyzny,pomiędzy prawdą a wolnością,między odpowiedzialnością a swobodą,tego nie przewidujmy i nie narzucajmy.Wystarczy gotowość podejmowania tych kwestii,a jeśli ona nie jest wmówieniem,lecz prawdą domagającą się głosu natychmiastowego,przyjdą odpowiedzi twórcze.

Przewidujmy natomiast i narzucajmy już teraz,jak te problemy nie będą mogły być rozwiązywane a raczej omijane artystycznie.Żaden automatyczny tradycjonalizm,o który u nas tak łatwo.Przypominam antytradycjonalistyczny wypad,tutaj jego miejsce drugie.Nie będzie odrodzenia symbolizmu i nastrojowości,choć w tej powłoce tyle prawd spoczywa,nie będzie jakichś zewnętrznych skłonów i nawrotów ku romantyzmowi,chociaż tam jest tych prawd najwięcej.Tymbardziej nie należy się spodziewać,by ton poetycki nadać teraz mogły dwie zasadnicze formacje stylowe 20-lecia: formacja awangardy i formacja skamandrycka.Dlatego to wypominienie ostatnie,ponieważ nie brakuje już dzisiaj ludzi,dla których w ten tradycyjnie polski sposób te obydwie formacje obrosły pajęczyną nietykalności i wyłączności.

Tradycja artystyczna tych lat przyszłych zostanie dopiero stworzona. Jej kamienie węgielne i zarys całości przeświecają już teraz.Wskazuję krótko,licząc,że przy innej sposobności ta krótka zapowiedź zostanie umocniona dowodami.Zarys całości jest ten,że nie należy się spodziewać stylu jednolitego,zagarniającego wszystkie formy pisarskie, jak był nim symbolizm.Kamienie fundamentalne są zaś dwa: personalizm jako wspólne łożysko odrębnego w swoim wyglądzie stylu prozy,odrębnego poezji.Klasycyzm jako dbałość o prawa wewnętrzne form i ich czystość oraz jako nakaz prostoty.

Opis dokładniejszy tego mostu w przyszłość kiedyindziej.Lecz nadzieja, że po tym moście poprowadzimy tradycję problemową ku dniom czekających nas prac,już teraz.Tradycja bowiem tylko wówczas otwiera bramy przyszłości,kiedy staje się zadaniem własnym,a w kształcie zadania dzieć pragniemy i tradycję i przyszłość naszą.

NADZIEJE NA EMIGRACJĘ

-Nierzadko w przewidywaniach literackich napotkać dziś można zdanie,że po ukończonej wojnie niewiele twórczego dorobku wniesie udręczony i zajęty okrutną walką codzienną kraj,a jedynie emigracja bytująca w całkiem odmiennych warunkach będzie w stanie przeżyciom naszych lat dać prawdziwy wyraz.Osoby wygłaszające taki sąd popierają go dowodem,że tylko emigracja żyje w ludzkich i umożliwiających swobodę twórczą warunkach,że jedynie ona posiada perspektywę i horyzonty jakich nie może posiąść zdławiony kraj; krótko mówiąc - ex emigratione lux.

Podobne przekonanie jest jednakże całkowicie błędne i złudne,a opiera się na kilku fałszywych analogiach i wmówieniach,które spróbuję podważyć i zdemaskować.Główną analogią jest tutaj zestawienie z wielką emigracją po powstaniu listopadowym.Z pozoru sytuacja jest podobna: dzisiaj,jak wówczas,literaturze w kraju nałożony został knebel.Podobnie jak wówczas,znakomici pisarze udali się na emigrację i tam,w europejskiej swobodzie i kulturze,zdala od barbarzyńskiego

ueisku,stworzyli najwspanialsze dzieła polskiego piśmiennictwa.Bardzo to kusząca analogia,ale całkowicie zawodna.

A dlatego: po 1-sze bynajmniej nie powtarza się sytuacja,jakoby najznakomitsi poszli w świat i tam tworzyli arcydzieła,a w kraju pozostała jedynie niegodna uwagi reszta.Nie powtarza się przede wszystkim dlatego,że faktu przymusowego milczenia i niemożności wydawania, na jaki zostaliśmy w kraju skazani,nie należy mieszać z milczeniem wewnętrznym.To że pisarz nie może drukować odrazu,nie znaczy,by nie mógł tworzyć.Tylko artykuł dziennikarski traci natychmiast smak,jeśli nie ujrzy druku,dzieło literackie prawdziwe nie wietrzeje tak szybko, lub przynajmniej wietrzeć nie powinno.Raczej w kraju pozostali twórcy tej samej wartości,jak ci co na emigrację poszli,a jeśli o nich cicho,nie znaczy to,ażeby w nich było cicho.

To jedno.Powtóre emigracja dzisiejsza posiada całkiem inny charakter aniżeli wielka emigracja.Z dzisiejszej emigracji,piszemy to bez złośliwości i bez insynuacji,chodziło w w?kszości wypadków o to,by unieść i ocalić swoje głowy.Powtarzam z całym naciskiem,że nikomu nie mamy za złe takiego postępowania,powtarzam,że poprostu obowiązkiem społecznym pisarza jest dzisiaj przechować swoje umiejętności,nie wystawiając ich na zniszczenie,ale z takiego charakteru dzisiejszej emigracji musimy sobie jasno zdawać sprawę,jak i z tego,że bardzo to zabarwi jej wyraz przyszły.Nie można mianowicie twierdzić,że tylko ci którzy poszli na emigrację unieśli z sobą cały zasób ideowości, zasób odpowiedzialności moralnej i pisarskiej,że tylko oni wyciągnęli wszystkie i ostateczne wnioski z klęski kraju i oni je zamienią na piękno pisarskie.

Tak było po roku 1831,tak nie jest dzisiaj.Twierdzenie zaś,że tak jest dzisiaj i budowanie na nim nadziei,stoi w jaskrawej sprzeczności z faktami.Na emigrację poszli pisarze albo już w ciągu kampanii wrześniowej,poniesieni pędem powszechnej ucieczki,albo nawet jeszcze wcześniej.Cóż to znaczy? Znaczy zasadniczą a prostą rzecz: że poszli na emigrację ubożsi o ten cały zapas przeżyć,doznań,doświadczeń, trwóg i nauk,jaki nam pozostały w kraju niemal czwarty już rok okupacji.Niewątpliwie wstrząsem był wrzesień pamiętny i wielu z tych,co poszło na emigrację zaznało tego wstrząsu.Było to jednak zaledwie wyrwanie ze snu polskiego 20-lecia,brutalne szarpnięcie za ramię,ale jeszcze n i e n a u k a. Tą nauką stały się dopiero lata okupacji, czasy cierpień i zła rozpętanego pod polskim niebem,czasy grozy ongiś rozciągnięte swoją miarą i niesamowitością na żywoty całych pokoleń,dzisiaj skondensowane,ściśnięte do tych niewielu lat,niewielu w rachubie,w doświadczeniu równych próbom całych pokoleń.

O tę naukę ubożsi są pisarze na emigracji.Nie mamy im tego za złe,ani nie czynimy im z tego zarzutu,śmiesznością byłoby takie postępowanie,podobnie jak nieprawną pychą byłoby sadzenie się na koturn tych, którzy w kraju pozostali.Powiadamy prosto: tak los podzielił egzystencję pisarzy polskich,że jedni to doświadczenie przechodzą z całym narodem,inni tylko z daleka.Więcej,jako ludziom,jako indywidualnościom, rzec nam nie wolno pod karą pychy.

Co innego,jeżeli mowa o skutkach tego podziału.Ktoś kto istotne,te dla których spodziewamy się wyrazu literackiego myślowego,przeżycia zbiorowości narodowej przechodził z odległości ten nie będzie w możności ukształtować ich literacko.Polityk,dziennikarz,nawet publicysta może rozprawiać na odległość.Pisarz nigdy.Sztuka pisarska żyje konkretnością,codzienną atmosferą,klimatem dnia poprzedniego,żyje zdarzeniami tragicznymi wśród ludzi,których się znało,z którymi się obcowało,żyje tą całą ruchliwą,niedocieczoną,niemożliwą do teoretycznego przekazania,jawną tylko w naocznym przeżyciu rzeczywistością.

Z miąższu tej rzeczywistości powstają dopiero problemy pisarskie jako jego sok i ekstrakt,lecz nie wyciśnie tego soku nikt,komu nie jest dostępny cała cierpkość i gorycz owocu.Nic bardziej niewyobrażalnego jak dalekie cierpienie.Wszak i pisarze tamtej,wielkiej emigracji,kiedy cierpienie wnosili do dzieła jako temat,nie byli w stanie sięgnąć do tego,co się współcześnie działo w kraju [illegible] proces filomatów,jakżeż sztuczni [illegible] daleko [illegible] wacki po przyczyny własnej absencji w walce [illegible] to co przechodził pozostawiony bez wyrazu [illegible]

Argumentów kruszących złudne nadzieje na emigrację dałoby się jesz-
cze więcej przywieść.Przypomnę tylko jeden.Mickiewicz idący na emi-
grację był już Mickiewiczem twórcą Dziadów i Wallenroda,Mochnacki by
już Mochnackim.Emigracja pogłębiła tylko i utragiczniła zarody mie-
szczące się w duszach tej generacji romantycznej.Jesteśmy z dużym u-
znaniem dla muzy skamandrytów,stanowiącej,według jakości patrząc,
trzon dzisiejszej emigracji,ale nie sądzimy,ażeby skrywał się pomię-
dzy nimi nowy Mickiewicz czy Mochnacki,a tylko naszym niedoskonałym
oczom był on w latach przedwojennych niedostępny.A jeśli na podobień
stwo Słowackiego i Krasińskiego,których dopiero wstrząs emigracyjny
powstaniowy uczynił genialnymi poetami,wyrastają ich następcy gdzieś
w Londynie czy w Nowym Yorku,wśród młodych i nieznanych,przyjmiemy
ich radośnie i z otwartymi ramionami.Jak dotąd nie słyszeliśmy o nich
wcale.Prywatnie zaś mówiąc,to znaczy bez argumentów i na domysł,nie
spodziewamy się usłyszeć.
Tak więc wielkie nadzieje na emigrację najlepiej odłożyć na czas po-
wojenny.Oni przyjadą ze swymi już wydrukowanymi książkami,my szybko
wydrukujemy swoje.Przeczytamy,porównamy.Resztę dopowie przyszłość.
Prywatnie zaś mówiąc,sądu tego jesteśmy spokojni i co w naszej jest
możności,czynimy,by czas próby i doświadczenia nie został w kraju
zmarnowany.

ODA DO WARSZAWY.

Mówią,że nie jesteś stolicą
Warszawo!
jako inne tonące w blasku -
grodzie mazowieckich Piastów - i piasków,
szare gniazdo tłumu ludzi szarych,
że nie będziesz nigdy piękną jak Paryż,
ani możną jak Praga nad Wełtawą...

Lecz ja kocham cię jaką jesteś - biedną
Warszawo!
bohaterze w sczerniałych epoletach,
któremu wszystko jest jedno
czy się w boju szych szlifów zetrze...
Idę i z dumą w piersi wciągam twe powietrze
szumiące wiosną,wolnością i sławą,
bruk twój pod moją stopą dźwięczy jak złota moneta
nie jak hasłami fałszowany metal,
co się podnosi frazesów kurzawą
i z megafonów płynąc - krzykiem lśni jaskrawo...

Idą przechodnie - w lewo, w prawo -
mijają się,ku różnym podążają stronom,
ciągną za sobą pasma swych myśli,Warszawo,
myśli,co wszystkie barwą twej odwagi płoną -
suną pędzące auta po mokrym asfalcie
gdzie każdy przejazd znaczy swą matową pręgę -
biegną tam i napowrót - nawspak - znów inaczej -
migające czółenka niecierpliwych tkaczy
snujących na swych krosnach niewidzialną wstęgę
Krzyża Walecznych,którym cię Bó chce odznaczyć!

Tak zaprawdę nie jesteś stolicą
Warszawo!
jako inne bogatą i sytą,
rozpartą na gmachach i kolumnach -
dlategoś jest niezależna i dumna,
nie mierzysz,nie handlujesz nie oceniasz,
nie czuwasz nad twem złotem jak nad świętym zniczem,
lecz jak prosta dziewczyna w szacie robotniczej,
wdychając w młode nozdrza powiew pól szerokich
idziesz śmiało naprzeciw swego przeznaczenia...
Wytworne piękno stanisławowskiej epoki
zarzuciłaś sobie lekko na szyję

jak wielobarwny szalik -
jeżeli go wiatr zerwie - krzykniesz - ale cię to nie zabije,
pójdziesz dalej...

Tak zaprawdę nie jesteś stolicą
Warszawo!
jesteś domem rodzinnym,którym się serca szczycą,
ziemią,co krwią nasiąkła i którą duch buntu przemierzył
w rozpaczy głuchej -
jesteś domem rodzinnym,nawiedzanym nocami przez duchy
i duchom wierzysz -
tym,co kryształowymi cię poświęcili słowami,
tym,co poszli za sławą,chociaż jej głos ich omamił
i temu,który nie ma pośród nas pomnika,
bo pamięcią jest z nami,strzeże swego dzieła,
przechodzi po ogrodach w burzliwych poświstach,
pochyla się nad biurkiem swojego ministra
i na tym słowie "Honor",na którym ongiś karta się zamknęła
na nowo księgę przyszłych dni odmyka...

Więc taką,jak cię widzę,kocham cię Warszawo!
w niebezpieczeństwie bliskim
szumiąca wiosną,wolnością i sławą -
jak armata pociskiem
naładowana jedną myślą,jedną sprawą...
Noc majowa nad tobą swój namiot rozpala -
Słyszę jak szum twój wzbiera,napełnia jej ciszę,
czuję,iż się w ciemnościach jak okręt kołyszesz,
okręt,co jeszcze w porcie się chwieje na falach
i długim rzędem świateł swą obecność znaczy,
gotów jutro wyruszyć na wody przeznaczeń...

---

maj 1939

DZIEŃ POWROTU.

To nie jest sen,bo dłonią kształt wywodzę.
Oto świat nieostygły jakby w dniu stworzenia,
a jednak jest,jest,bo po tej nocy
czuję go jakby rzeźbę ukrytą w kamieniu
obnażył wzrok.

I co... i jeszcze wciąż tabory płyną
w cynkowym świetle,a gdy wiatr odtroczy
te smolne płachty i nad koleiną
błysną twarze poległych... Na zamknięte oczy
wrześniowych liści czy ptaków girlandy,
i tak się toczą w mrok - nim zginą
za ognia,czasu,pamięci kurtyna.

Ledwie świt,już w oparach zbudziły się rzeki
i miastom dłonią chłodną przetarły powieki.
Popatrz.Wiotkie dymy w ten poranek świeży
wieńczą dachy,a jakieś płomiona słowiańskie
palcem stukają w mury.Zostałe z gruzów bieży
witają sady,ocierają liściom
ścianę spękaną
na której krucyfiks zawieśnie.

Znasz to krzątanie skore? Znów się w ziemię
wypoczętą pogrąża motyka i lemiesz.
I ręka ręki dotyka nieśmiało,
a z miłością, Tylko tylu nas zostało
po potopie.I łza spływa
grając tęczę po twarzy - przez słońca przędziwa.

Zanim promień zetnie
tę ranną mgłę,słyszysz jak arkady grają
żelaza mostów i tramwajów fletnie
zawodzą na zakrętach.Juz ucho odczyta
pierwszy głos nowych czasów
w kamiennych korytach.

Jeszcze daleko dudnią tamte wozy
ze zbiorem śmierci.Tu koło bukowe
w jarze,narzuca welon spieniony na głowę
i mieląc sypkie ziarko młyn znów gada
maczając bazie kozy
w sinych wodospadach.

Już bydło pierwsze garści traw wyłowi.
Wiatr powiał.
Strumien zaświecił,zmatowiał
i słonce kruche lustra
w swieże ślady wprawia.
Patrz - Spijając wilgoc trąbką,już za chwilę
jak jasminy strząśnięte chmurami motyle
zawirują.

A my...A my...Cichnie głos.

Wraca nasza kolumna wśród pól urodzajnych,
czarne obozowiska,jakiś sad rozstajny
gdzie w trawie,w rosach chłodnych
gwiżdżąc tarza się kos.

Ręka do broni nawykła obejmuje kwiat,
już kwitną lufy,hełmy zsunięte - po twarzach
blask i cienie obłoków...To tak nas rozmarza
wiosenny wiatr.

Piękna.Po trzykroć piękna,czemu nie wybiegasz?
Wzdłuz drogi,ileż od ludzi wytrwalsze
drzewa strzaskane w kwitnących szeregach,
gromady mogił
 - witają.

To tak.

Idziemy i idziemy jak wspomnienie złe,
to jakby chmura niska,co na progu lata
żółtą gałąź błyskawic w ścianę deszczu wplata,
i gradów przesypuje szklistych żwirowiska.

Jednaki krok.Jednaki głos.
Mieszkańcy patrzą.Lęk po czołach chodzi,
co trzeba dać,jak dzielić,by ich ułagodzić
tych synów snu.

A my pragniemy tylko kochać.

Przed nami małość ludzkich rzeczy
wrogim szumi językiem.Synowie otchłani
którym dzien wywalczony,krwią obmyty przeczy,
jestesmy tym powrotem,jeszcze raz wygnani.

Aż nagle stajemy milcząc.Bo w moczarze,
przez szuwar wlokąc blaski,cyranek po parze
sciele gniazda.Toń drzemie i ryb,srebrnych wirów
koliska.Kaczor stoi na straży i głową z szafiru
kręci czujnie,śledząc okrągłym okiem profil lisi
księżyca - który rudy nad olszyną wisi.

I odchodzimy na bok.Broń złożona,szosa.
Trafieni w piersi ciszą,ciszą którą znamy,
padamy w trawy i w pachnących włosach
pogodzeni na zawsze z ojczyzną - szlochamy.

PLAC INWALIDÓW.

" Są marzenia, które siła pragnienia wprowadza w czyn."

Jesień ustawiła już dekoracje. Dni przemijały lśniące, dojrzałe i wyłaniały się z kalendarza jak pękający owoc kasztana. Miasto przybierało zwolna wygląd dostojnego mieszczanina, któremu wspaniałe wiosna i lato życia nakazywały przybrać aksamitny płaszcz. W srebrnych szynach mieniła się w zachodzącym słońcu woda popołudniowego deszczu. Liście dobijały się do okien i potem spływały w obumarłe podwórka. Słońce tonęło za miastem, czepiając się rozpaczliwie promieniami wszystkich szczelin wśród ulic biegnących w przedmieścia.

Barykadę wzięto o piątej. Mimo silnych kontrataków Niemcy nie zdołali jej odebrać. Przed szóstą przyszły posiłki i broń. Ulica Karmelicka stanowiła jeden z najważniejszych punktów w planie opanowania miasta przez powstańców. Tędy biegła jedna z głównych dróg komunikacyjnych między Rzeszą a Gubernią. Zwarta z placem Inwalidów ulica ta otwierała dostęp do dzielnicy niemieckiej, gwarantowała zamknięcie miasta w klamrze wojsk powstańczych, dosyć daleko oddalonych od śródmieścia.

Powstańcy dobrze pochowani w domach czekali na dalsze rozkazy. Zdobycie barykady drogo kosztowało, ale zato gdy się spojrzy do tyłu, widać drugą, polską ulicę. Wylot ulicy, nawpół rozbita barykada z trupami nieprzyjaciela i swoich, plac Inwalidów dzielił ich od wroga ukrytego w kamienicach za skwerem.

Porucznik Antoni nieznacznie wychylony z okna oglądał przez lornetkę plac. To on rozkazał zamilknąć maszynkom, aby się zorjentować gdzie jest największe natężenie ognia nieprzyjacielskiego. Ale z chwilą kiedy karabiny milkły jeden po drugim Niemcy nie chcąc odkrywać swoich kart zrobili to samo. Zapanował spokój, tylko co pewien czas świst kuli i pojedyncze pęknięcie karabina dawały poznać, że obydwie strony obserwują się nawzajem. Z bocznic dochodziły z daleka pogwarki erkaemów, przygłuszane uwięzionym w wąskiej ulicy hukiem granatów. Kilku rannych Niemców wiło się na jezdni, kilkunastu na trawnikach.

– A więc pójdziemy tam do nich – mruczy Antoni, kryjąc się za framugą. Kula mi łknęła obok i ugrzęzła w którymś z okien. Po ulicy dźwięczą teraz szyby spadające z trzeciego piętra. Antoni wie, że w tym układzie sił, zajęcie obecnych stanowisk nieprzyjaciela, jakimś normalnym posunięciem, jest niemożliwe. Bieg kilkudziesięciu ludzi przez obszerny plac, odsłonięty ze wszystkich stron pod obstrzałem maszynowym jest logicznie nie do wykonania. Ale również wie, że w każdej następnej minucie Niemcy mogą otrzymać posiłki, artylerię przeciwpancerną, której się najwięcej obawia i czołgi. Wtedy zdobycie przeciwległych kamienic byłoby jeszcze bardziej niemożliwe. A oddanie przy nieprzyjacielskim natarciu trudno zdobytej barykady, przekreśliłoby sens zdobytych barykad na ulicach Piłsudskiego, Lobzowskiej i Długiej.

Z Pomorskiej wysuwają się Niemcy i przypłaszczają się do muru. Korzystają z zapadającego szybko mroku, jak pająki. Jeden, trzech, dziesięciu... Równocześnie z głębi parku Krakowskiego zaczyna zamiatać bruk, a potem ściany budynku ulewa pocisków. Po barykadzie, po tramwaju leżącym na boku jak pies z podkurczonymi nogami maszynowy bębni karabin najwidoczniej umieszczony na dachu Gestapo. Serie wspinają się po ścianach, sięgają dachu, a potem rozpryskują się z pomrukiem po jezdni, łupiąc z chrzęstem bazaltowe kostki. Niemcy chcą się podsunąć jak najbliżej, granatami znieść barykadę i wlać się w miasto. Polskie karabiny podejmują wezwanie. Najpierw przekreślają zbliżającym się Niemcom drogę, a potem szukają przeciwnika po dachach i oknach. Wściekły jazgot spotęgowany głuchym echem ulicy dosięga szczytu, kiedy któryś z Niemców ciska kilka granatów. Eksplozje wyrywają kawałki ziemi i podrzucają w powietrzu jak piasek. Płyty chodnikowe furcząc spadają i pękają w małe kawałki, potrzebne dziecku do budowania doskonałych pałaców...

– O, panowie macie ten sam problem do zgryzienia co my. Plac, plac panowie – uśmiecha się porucznik Antoni i drapie się po uchu.

Z okien po drugiej stronie ulicy,znaki ręką.To kolega po-
rucznik Jan.Trzyma rewolwer i lufą wskazuje Niemców.Antoni przy-
kłada ręce do ust i krzyczy :

- Przygotować ludzi do natarcia !

Porucznik Jan rozumie,później wskazuje jeszcze na plac i chwyta się za głowę.Prawie wychylony odkrzykuje podkreślając os-
tatni wyraz.

- To prawie napewno śmierć.

Antoni klnie i woła,starając się przekrzyczeć kilkaset kul .

- Przestań myśleć .

Robi się małe piekiełko.Teraz już parę karabinów zasyp-
ulicę.Nie może być mowy o przebiegnięciu w poprzek.Porucznik Anton
z pasem wojskowym i dystynkcjami przyszytymi do cywilnego ubrania
przechodzi na korytarz.Łapie na schodach swojego łącznika,młodego
chłopca w niemieckim hełmie z wyrysowanym na nim kredą orzełkiem.

- Nakazać tym z Lenartowicza na pierwsze próby naszego na-
tarcia dotrzeć do ulicy Sienkiewicza.Za wszelką cenę .Chce wrócić
do pokoju,ale tu już jest niebezpiecznie.Rekoszetowa kula odbija
o róg szafy i grzęźnie w zwisającym ręczniku.Zbiega.Na półpiętrach
w sieni siedzą po stancy. Porucznik mija ich jak huragan.Na dole
wrzeszczy :

- Podoficerowie do mnie !

Przylatuje trzech,usmarowanych,wywołanych gdzieś ze str-
chu i piwnic.

- Gdzie Pisula,szuka czwartego,którego mu przydzieliła ko-
menda sił powstańczych.Za chwilę nadbiega kapral,ale inny.Pluton
Pisula dostał kulę w czoło i siedzi jak żywy pod ścianą,tylko j
nigdy nie przemówi,ani poruszy ręką.

- Musimy być gotowi.Pójdziemy do dzielnicy niemieckiej.P
-sza wystrzelona rakieta da wam o tym znać. - Podoficerowie patrz
długo w poważne oczy porucznika i rozchodzą się nabrzmiali odpow
dzialnością.Domyślają się jakie spełnią zadanie.Ale dzień dzisiej
jest dniem spełniającej się tęsknoty i stokroć cenniejszym niż dn
które nadejdą.Żołnierze grupują się koło swoich dowódców,skaczą
kilka schodów jak chłopaczki wybiegające ze szkoły w upalne połu
Starzy i młodzi.Kogo wojna zastała na ulicy i w biurze,w cywilu,
wyruszył świadomy walki,w mundurze polskim,albo niemieckim kupion
od dezerterów.Jedni w hełmach niemieckich już zdobycznych,inni w
skich przechowanych w piwnicy pod węglem.

Zawierucha nie ustaje.Antoni chciałby koniecznie rozmów
się z Janem.A tu nie można nawet pomyśleć o wychyleniu się z bra
Porucznik Jan jest literatem i przyjacielem Antoniego.Dziś zreali
wały się dyskusje,toczone w zamkniętym pokoju podczas długich mie
cy niewoli.I mimo,że Jan stanowczo się upierał iż więcej przynie
korzyści narodowi,kiedy stanie przy maszynie drukarskiej i będzie
sał o Polsce przyszłej,tym cudzie wypracowanym polską ręką,teraz
nął z nim przy ramieniu,które siłą wydziera co polskie i święte.
- Nie uważam się za wybranego - mówił - ale w powstaniu,gdy zgini
ta resztka ocalałej inteligencji,co zrobi naród ?Ginąć może i po
fi każdy,tworzyć i porywać nie jest dane każdemu.Jednak nie wierz
w to co mówił,bo na pierwszy znak,przypomniał sobie komendę i si
bie jak uczył szeregi młodych Polaków ładować karabin i celować
sto w serce.Porucznik Antoni chciałby uścisnąć przyjaciela i rze
jedno słowo -"dziękuję",które wyraża dumę i uczucie.

Zapada ciężka noc,siekana przez zacietrzewione maszyny

Antoni znowu przy oknie.Krzyczy w ulicę,aż pojawia się
postać Jana.

- Z zapadnięciem nocy ruszamy !

Jan pokazuje na dziurawioną barykadę.

- A to ?

- Antoni wznosi ręce nad głową i potrząsa nimi.Ma to oz-
naczać uznanie.

Świetlne pociski prują ulicę i giną jak sierpniowe gw-
zdy.

Antoni dostaje się podwórcami do narożnej kamienicy.T

cały plac jak na dłoni.Niestety podejście do któregokolwiek okna równałoby się śmierci.Po opuszczonych biurach fruwają łaskocąc ściany papiery.Wiatr porywa kilka i wyrzuca na ulicę przez rozbite okna. Opadają jak białe ptaki.Antoni musi wracać na korytarz,bo Niemcy biorą to za tajne znaki do kogoś i fastrygują piętro gradem kul. Na dachu,poza parapetem wysokiego gzymsu obsługa jednej z maszynek. Podchorąży i szczeniaki.Doskonale się bawią.Żadnemu Niemcy nic jeszcze nie zrobili.Karabin dyszy i podskakuje.

- Co jest z tą podstawą ? - denerwuje się podchorążak. Zdążył sobie już na marynarce przyczepić agrafkami patki podchorążackie.

- Czegóż się można dziwić.Przecież to stary trup.Ale tam, tam..nowiusieńkie,prosto od krowy - szczeniak zaciera ręce,aż sklęty że krzywo podaje taśmę,rzuca się ze zdwojoną żarliwością do stalowego strumienia pocisków.

-Żeby mi tu,ani jed n Niemiec nie wychylił dziuba - nakazuje Antoni.

- Ma się rozumieć panie poruczniku - podchorąży i szczeniaki spoglądają na siebie i parskają śmiechem.Przecież tego nie potrzeba powtarzać.Jasne,że nie pozwolą.Porucznik zatrzymuje się. Zza krzaków,nad stawem w parku wyczołgują się pokracznie pełzający ludzie.Przy bliższej partii zarośli zastygają na sekundę i znowu pełzną.Antoni chce ostrzec podchorążego,ale ten ma ich na celowniku. Przyklęknął na oba kolana,zmrużył oczy,szczęki mu latają i wali. ANtoni myśli,że ta jasna,jesienna noc jest wielkim szczęściem i przekleństwem.Zazdrości temu młodemu człowiekowi karabinu maszynowego tej smarkatej obsługi i celu.

Jeden ze szczeniaków próbuje sprawdzić skuteczność ognia. Zbliża się ostrożnie do brzegu dachu.Nieopatrznie wystawia trochę ciała.Antoni rzuca się do tyłu,bo kilkanaście kul dziurawi przestrzeń obok niego,albo obrywa beton z obmurowania.Chłopak,jakby rozradowany podskakuje,rozkłada ręce i jak gołąb spada na ulicę.Drugi blednie,puszcza taśmę i czołga się do krawędzi.Podchorąży wyje na niego: - Wracaj bajtloku,bo już kilku uciekło - i nie mogąc dosięgnąć ręką,kopie go w pośladek. - Macie gówniarze zabawę we wojnę, a macie - mruczy i silniej zaciska dłonie na uchwytach. Szczeniak wraca,podaje taśmę i ma łzy w oczach,które spływają jak kule jedna za drugą.

Kilka zielonych,ruszających się pakunków pozostaje na ziemi,reszta zrywa się i pochylając się,niknie w kępach drzew.

Tymczasem w bramach od alei przygotowuje się natarcie.Po tamtej stronie bronią się cywile Niemcy.Nie robią szkody,bo strzelają przeważnie z rewolwerów.Tylko dwa karabiny maszynowe na starostwie i na rogu placu kontrolują ulicę.

Antoni zatrzymuje się w jednej z bram.

- Wiecie co macie robić ?

- Wszyściuteńko.

-Czy wszyscy mają broń ?

Starszy żołnierz z opaską z chustki do nosa na ramieniu odpowiada:

- Nie wszyscy,ale broń się znajdzie.Dwa kroki i jest karabin.- Na plantach leży skurczony żołnierz niemiecki.Upuszczony karabin oparł się lufą o drut ogrodzenia.-Zaraz go weźmiemy - otaczają porucznika.Trzech młodzieńców w mundurach Baudienstu,ćmią zdenerwowani papierosy,troskliwie okrywając żar dłonią.Później stary,może sześćdziesięcioletni woźny z hotelu w okrągłej czapce z napisem, świecą mu się oczy.Jakiś wymuskany pan w kolorowym szaliku na szyji dzierży mocno karabin.Paru małych brzdąców.Potem twarze robotników, zacięte,ostre.

Strzelanina nagle ustaje.Antoni wraca.Przypuszcza,że Niemcy otrzymali posiłki.Daje rozkaz zdwojenia uwagi.- Boże,żebyśmy się tylko nie spóźnili.Zwiera ze sobą palce.Już powinien być goniec z dowództwa na ulicy Piłsudskiego.Bo jeśli tamci nie oskrzydlą równocześnie Niemców,to nawet zdobycie placu nie zmusi ich do opuszczenia zachodnich przedmieść.

Gdzieś daleko zaczyna brzęczeć motor,żelazny komar nocy.

Ale dołapuje go stary plutonowy.Jest goniec.Nadbiegł
podworcami,utytłany błotem,przykłada rękę do piersi i nie udaje
się wykształcić ani jednego słowa.Wreszcie gdy podniecony porucznik
zaczął nim trząść,wysylabizował z trudem łapiąc oddech : - Nasi
pod Oleandrami - a potem wyrzucił ze siebie - biją się o koszary.
Porywa się jak wściekły.Gońcy rozpierzchli się po dowódcach z ro-
kazem ataku.Gładzi nerwowo włosy.Potem wyjmuje z pochwy rewolwer.
Robi nim znak krzyża.Obok stoi drżąc ze zdenerwowania żołnierz z
pistoletem rakietowym.

Porucznik Jan odrywa się od okna,siada w fotelu,odru-
chowo bawi się paskiem lornetki.Usiłuje zdobyć tyle czasu aby po-
myśleć.Na schodach słychać buty żołnierskie.Za chwilę skończy się
to wszystko.Nie wierzy w inną możliwość jak tylko w śmierć.Nie tr-
zy go,ale ma w sobie przekonie,że daje się o wiele lat zawcześnie.
Wtargnie sam w przestrzeń przed którą miał długą jeszcze drogę.
Już zapóźno.Już sypie się na nich ten niewidzialny śnieg,co ich o-
garnie rysując grube fałdy ciał.Jan wystawia rękę,przebiera palc-
doznaje wrażenia,że płatki przylegają do dłoni.Teraz chce przypo-
te zdania jakie wymyśli,odkrywcze zdania które dotykały życia.Je-
po drugim odrzucał,bo wydały mu się w tej sytuacji papierowymi a-
kami,unoszonymi przez prąd,któremu sam ulega.Mając w sobie prze-
ciwieństwa życia i śmierci noszone od urodzenia,ulegał im,zosta-
jąc siebie nurtowi.- Tak to jest męska rzecz,chciał powiedzieć -
ofiarować się z premedytacją.Wymagają tego od nas - ale bał się
usłyszeć własnych słów.tej odpowiedzialności za postanowienie.Po
drugiej stronie ulicy czeka Antoni,to dodaje Janowi odwagi.Śmies-
Życie jeśli wymieniam za wieczność ? Byłoby szaleństwem nieskorzy-
stać.Pełen jest zapału twórczego.Ma w sobie przekonanie,że pisze
najlepszą powieść.Rozgląda się.Znajduje się w niemieckim mieszk-
Na ścianie wisi portret Fürera.W drzwiach spotyka żołnierza.Odbie-
niego kartkę i wsuwa bez czytania do kieszeni.Jest zdecydowany.S-
czą po kilka stopni nadół.

Po ulicy tańczą kule.Odskakują od powierzchni j-
duże krople deszczu.Trzeba przeczekać zainteresowanie nieprzyjaci-
tym odcinkiem.Stoi w mrocznej klatce schodowej.Teraz ma dużo cza-
do myślenia.Panuje cisza,jakby każdy obliczał w napięciu granice
swojej wytrzymałości.W duszną atmosferę uczuć wlewa się odgłos d-
kiej walki.Jan odnosi wrażenie,że ciężar jej spada na niego,że sw-
im poświęceniem odkupuje i przeważa losy zawarte na tym placu.A r-
nocześnie podskórnie rodzi się żal do tego świata za to,że urodz-
się w epoce bohaterstwa.Przy obrachunku z talentów,suma zostanie
podkreślona czerwono w połowie kolumny.Robi się czarno,głowa zata-
cza się w spiralach ciemności.

Zbliża się do niego żołnierz.Jan nie widzi go do-
brze,ale jest przekonany,że to djabeł.Przywiera dłońmi do chłodn-
ściany.Walka wzrasta,gdzieś wybucha szrapnel.Potężnieje walka mo-
dnia i otchłani,dobra i zła.Głos diabła brzmi przyjemnie,Kładzie
między nimi elastyczna odległość ciemności.

- Pan z nami ? Nie spodziewałem się .Zresztą skąd ?
Zbyt cenię pana po pańskich książkach,abym mógł przypuścić.To je-
w końcu pańska sprawa.Bijemy się o ideały,o rzeczy słuszne ...-
Jan podnosi się o parę schodów w żej i trzyma się poręczy.Niepra-
To jest nieprawda co on mówi.To nie jest lekkomyślność,ale obowią-
padania.Może za niego przyjdzie tysiąc ludzi zdolniejszych.Śmier-
przyczyni się do narośnięcia nowego pokolenia. - myśli pracują j-
telegraf.Właśnie może jego śmierć będzie pożyteczniejsza,niż nap-
ne dzieła sztuki..

Lecz diabeł robi zaraz wyłom w stawianym murze.

- A co pan pisze obecnie ? Spewnością pozostawił pan n-
dokończoną powieść.Napróżno będziemy czekać na dalszy ciąg.A sz-
szkoda...

Jan zatyka uszy pięściami,chce wyrwać się z krę-
nieczyni jednak kroku,ręce opadają.Żal nim targa,nienapisane J-
słowa układająją się składnymi liniami,ludzie,których pozostawi-
białych arkuszach papieru dopominają się o życie.

- Na nic to,na nic.Podkopują się pod nas komuniści.My
nich pracujemy.Żłobią pod nami tunele,obsypiemy się.Zagarną nas.

w mieście,już teraz pracują.Słyszysz?

Jan puszcza poręcz,nie może odpierać ciosów myślą, milczenie jak czarna tablica po której diabeł pisze kredą.Musi krzyknąć.Głos drży w gęstwie mroku,dociera do serc,zatrzymuje je na moment.Jan spostrzega przed sobą żołnierza.Sięga po kartkę.To jest rozkaz z Głównej Komendy skierowany do niego.

Antoniemu te chwile oczekiwania wydają się jakąś niezmierzoną płaszczyzną,nieobliczalnym oderwaniem się od wymiarów,trwaniem dzięki pewnemu wysiłkowi woli.Ostatkiem sił pokonuje chęć wyrwania się i zagęszczenia strumienia kul.Odzywa się w nim ta dziecinna pobudliwość walki,noce nieprzespane w gorączce zbliżających się potyczek. Dać się porwać wirowi boju.Ugasić się.Żołnierze za nim,pełni niepokoju,przerzucając z ręki do ręki granaty.Rakieta wymierzona w niebo.Jak to wszystko przeraźliwie długo trwa.

Dopada ich porucznik Jan.Korzysta z nagłej ciszy i przeskakuje kilkoma susami ulicę.Antoni łapie go za klapę i mówi,cedzi w oczy przyjaciela :

- Jasiu,idziemy już,idziemy,taki jestem szczęśliwy.

Jan opiera się o mur.Właśnie przyszedł oznajmić mu, że wraca do miasta.Ma objąć miejsce w redakcji dziennika.Tam prędzej się przyda aniżeli tu składając życie.Wtedy wypełni się jego komurka, jeśli talent rozkwitnie jak gałąź akacji w służbie pomyślanej dla niego.

Antoni nie rozumie.Chwyta go za rękaw.Marszczy brwi, skupiając myśli.

- Ty,ty opuszczasz stanowisko,w takiej chwili ...

Jan potakuje i rozkłada ręce.

- Zresztą mam powołanie.W Głównej Komendzie mają to samo zdanie.Od nas czego innego żądają.Patrz ... - pokazuje mały arkusz papieru, - a następca mój już jest na stanowisku.

- W takiej chwili Janie...

- Całe życie składa się z chwil.Jedna nieopaczna i traci się wartości nieprzemijalne,a po drugie mogą wcześniej komuniści zająć drukarnię.Trzeba bronić wstępu do niej.Tam się też walczy.My nie możemy się krwawić dla komunizmu.

Antoni chwieje się.Marzenie pójścia naprzód z kolegą, z gotowością oddania życia swego za jego życie,tą najprymitywniejszą męską oznakę przyjaźni,prysło jak balonik.

Jan szuka usprawiedliwienia na twarzy porucznika Antoniego znajduje oblicze przejęte wstrętem.Nie ma czasu.Wbiega zasapany młodzieniec w berecie i z koalicyjnym pasm przez ramię.

- Idziemy ?

Myśli w głowie Antoniego robią gwałtownego kozła. I znowu są na swoim miejscu.

- Najwyższy czas.!

Jan kładzie mu rękę na barku.Antoni otrząsa się z niej z obrzydzeniem i odwracając głowę,mówi w sień :

- Tchórz!

Rakieta wspina się wysoko w niebo i zawisa jak blady kwiał w granatowej toni.

Antoni jest w szeregach.Powstańcy wysuwają się pojedynczo i wyciągają się pod okapami kamienic.Karabiny maszynowe kładą ogień zaporowy.Niemcy domyślają się przebiegu akcji.Świetlne pociski,rrekoszety,łupki bazaltu,kręcą się w alei,jak liście miotane wiatrem.Od placu są narazie zabezpieczeni.Tam wrogowie wymieniają swoje uczucia pasmami pocisków,ścigających się w pośpiechu dotarcia.Nagle jeden wyłamuje się z szeregów,gn przez jezdnię i przesadziwszy ogrodzenie grzęźnie w rozmiękłej po deszczu trawie.Polskie karabiny wzmacniają ogień,ale po plantacji zaczyna się przejeżdżać milczący do tej pory karabin ze środkowego domu.Antoni odrywa się również.Skoro osiągną drugi chodnik będą bezpieczni.Słyszy jak biegnący obok chłopak, rzuca karabin na ziemię,waha się zatrzymany naraz w biegu i z westchnieniem skręca się na ziemię.Czuje,już nie słyszy,ryk rannionego portiera bo przygłusza ta łoskot ulicy broniącej się od pocisków.Intuicyjnie pada i przypłaszcza się do ziemi.W małej odległości,z głębokiej

hukiem wysypuje się w powietrze kawał trawnika i spada zasypując c
złomkami i darnią leżących.Jeszcze kilku zostaje.Antoni nawołuje
skoku.Tymczasem przed i po bokach,ziemia zaczyna pląsać i unosić
na wysokość piętra.Niebieskie i rdzawe kielichy błysków orientują
miejscach wybuchów.Jakby ktoś chwycił za niebo położone na kamieni
cach i trząsł,przymrużywszy oczy z zaciekłości.

Antoni uczuł strach.Doznaje go poraz drugi.Wtedy podczas
kampanii 39 roku,wczasie przepraw przez Bug,Niemmcy zaskoczyli ic
dokładnie na środku rzeki i teraz.Ale wkońcu strach jego wewnętrzn
pospolity przytłumił strach większy - co będzie z natarciem ?Wtedy
dobrnął szczęśliwie prowadząc swoich chłopców.A dzis podobnie,na
srodku ulicy,węższej od rzeki,i ma się cofnąć a z nim reszta.

Rój swietlnych kul płynął po chodnikach.

Porucznik Jan skradał się ostroznie do miasta.Jakkolwiek
oddalał się od miejsca walki,to jednak zabłąkane pociski przemierz
ły ulice w nieodgadnionych kierunkach.Poza tym w mieście pozostało
jeszcze wielu Niemców pochowanych w mieszkaniach,rozpaczliwie bro-
niących swej do niedawna olśniewającej wolnosci.trupy ludzkie i
skie,wypalone auta,zdemolowane tramwaje i odgłos walki dają tej je
siennej,pięknej jak posąg grecki nocy,rzeczywistość miasta,po któr
przeszedł ciężki czołg wojny.

Przez ulice przebiegają czarne postaci.Jan zabiega jedne
drogę.Młoda kobieta przerażona zaczepką,przyciska do piersi toreb
z której wysypują się bandaże.Jan schyla się i skręca powoli biał
taśmę i pakuje jej spowrotem do rąk. - Przepraszam panią'i mija j
przykładając palce do furażerki.Idzie,coraz mniej ostrożnie,potyka
się na zległych ciałach,czuje jakby mu się coś zapadło w piersi i
rywało serce w dół.

Z przecznicy wypada oddział ludzi z karabinami.Wchłania
ich Karmelicka.Pędzą pochyleni tuż przy murze naprzeciw szczękają
barykady.

Zatrzymuje go lotna patrol wyławiająca niemców.Patrzą na
niego i nic nie mówią.Potem salutują jak oficerowi.Popychają prze
sobą skrępowanych jenców.Jan widzi w ich spojrzeniu zdziwienie,kt
jest przeciwem.

Noc granitowa kolumna spoczywa na ramionach.Gdzieś w ch
rach poza horyzontem zaczął szeptać nocny paciež samolot.

Porucznik Jan szedł.I z każdym mijanym człowiekiem,dzie
ną co podpierała rannego żołnierza,gnającym na barykadę tramwajar
kobietami i mężczyznami ktorzy w tę noc stając się żołnierzem,pow
rzał werset,który wyrzekł poraz pierwszy głośno: - Idę bronić dru
karni przed komunistami.Przyspieszał kroku,biegł prawie i dopowia
- ja nie jsetem tchórzem.

Skręca nagle do koscioła,naciska klamkę.Kościół otwiera
jak dłoń.Ogarnia go chłodna ciemność,inkrustowana w nawie gotycki
witrażem.Oliwki płomieni drżą na świecach przed ołtarzem Matki na
Jan przyklęka.Na stopniach leży krzyżem białowłosy ksiądz.Kanonad
z przedmieść wciska się do koscioła jak dźwięk dzwonków z dalekic
gor.

Przed barykadą rozpłaszczył się huk i pocisk moździeża ro
wał płyty chodnika.Następny,już bliższy wkręcił się w zbite zelaz
i wyrzucił w górę las powyginanych prętów,trzy dalsze obskubały r
kamienicy,odsłaniając czeluść sklepu.Później cała dziesiątka wybu
zadźwięczała za barykadą.Wszystko podskakiwało i latało w powietr
jak stos chrustu,bity uporczywie kijem przez swawolne dziecko.Nie
postanowili za wszelką cenę zniszczyć zaporę u wylotu ulicy.Powst
cy cofnęli się głęboko do bram.

- Teraz puszczą wozy pancerne,padło z ciemności.
- Może czołgi ?
- Niech puszczą co chcą,Karmelicka jest już na zawsze n
- Nikt nam nie da rady,dopowiada ktoś z głębi.

Z góry spostrzeżono ruchy niemieckiej piechoty,odryw
się od drzew i znikali w parku.Tam w stawach i w zaroslach mieli

pewniejsze załony. Silniejszy wstrząs dał znać, że pocisk wybuchł na kamienicy. Zaraz też meldowano, że moździeże zaczynają bić po dachu uniemożliwiając ogień maszynek, dom począł drżeć jak dekoracja w prowincjonalnym teatrzyku. Rzeczywiście karabin maszynowy na dachu umilkł wypluwając jeszcze kilka ładunków. Moździeż trafił w sam środek obsługi, zrzucając karabin i dwa kominy w pobliżu na jezdnię. Niemcy przebiegli trochę bliżej i otworzyli ogień z erkaemów. Moździerze naraz scichły, zrobiło się nawet przy palbie maszynowej cicho. Tylko z parku polewano narożne domy wrzątkiem kul. Z pomorskiej wyjeżdżają biorąc ostry zakręt, trzy pancerne samochody. Prosto na barykadę. Stają przy alei ze zgrzytem hamulców i zaczynają bić z cekaemów po skwerze, który osiągnęli już powstańcy. Wyglądają jak wielkie jeże, szerzące śmierć. W narożnej bramie, młody kapral wiąże prędko granaty.

– Kto ze mną ? Drze się, chcąc przytłumić tym krzykiem strach, jaki oplątuje człowieka po decyzji. Wylatują we trójkę. Jakimś szczęśliwym trafem nic im nie robi kilkanaście pocisków, co jak stado spłoszonych wróbli smyrgnęło po bazaltowej nawierzchni. Zachodzą z boku. Jeden z wozów zwraca się w ich kierunku i długa seria przechodzi ich nawylot. Wiązki jednak eksplodują. Dwa auta szarpnięte do tyłu stają i milkną. Z podwozia wydostaje się cienkimi pasemkami dym, potem języki ognia smalą grubą blachę. Trzeci wycofuje się gęsto ostrzeliwując.

Kiedy osiągnięto pierwsze bramy przeciwległej strony alei, granaty jak jabłka spadły na polaków. Niektóre udało się kopnąć na plantację, inne wybuchły nieszkodliwie, zdzierając tynk. Kilka osiągnęło skutek. Ludzie jak pajace z tektury rozpadali się na części. Nowi dołączali. Granaty przestawały szkodzić w sieniach. Jeszcze tu i ówdzie podskakiwał jak jajko na drodze, albo toczył się długo wzdłuż krawężnika i nagle pękał. Montowano gorączkowo karabin maszynowy na rogu alei, aby teraz całkiem trzymać w szachu piechotę z parku. Równocześnie, opróżniano kamienice z niemców. Złapanych zabijano jednym wystrzałem, bez słowa pogardy i nienawiści. Mieszkania pootwierane, opuszczone nagle, wszędzie walają się rzeczy, wywrócone w panice stoły i krzesła, podeptane ubrania. Ostatnie piętro całe zamknięte. Wyważają drzwi. Korytarz pusty. Cisza, która która zapadła po hałasie wywalonych drzwi. Porucznik Antoni wkracza pierwszy. Idzie z przekonaniem, że dzisiaj musi walczyć za dwóch. Zagląda odważnie śmierci pod kask. Jeśli padnie za chwilę, to życie jego będzie ofiarą jego i Jana. – Boże, dodaj mi to wszystko czym on pogardził – prosił przytulając się do ziemi na skwerze.

Repetuje Wisa. Potem jednym uderzeniem nogi otwiera pokój. Nikogo. Wchodzi, za nim żołnierze. Jest w tym wszystkim jakiś ceremoniał skupienia, walki, która się spełnia, oczekiwania własnej śmierci, której się wychodzi po męsku naprzeciw.

Idą pokojami. Ostatnie drzwi rozłamują się dziwnie łatwo. Narożny pokój. Między oknami, na tle białej ściany – człowiek. W tej chwili odbija się przed nimi granat, odskakują za dwie strony ścian. Granat wyrywa otwarte drzwi. Huczy długo po pokoju. Spada chybocząca lampa. Antoni decyduje się zaryzykować głowę. Widzi Niemca cudem ocalałego, jak mocuje się z zatrzaśniętym oknem, wreszcie staje na parapecie.

– Halt ! – wysuwają się powstańcy.

Niemiec skacze, ale dosięga go jeszcze kula jednego z żołnierzy, bo łamie się w powietrzu i spada. Ten co strzelił, wyjmuje chustkę i wyciera głośno nos.

Antoni podbiega do okien. Na dole maszynka już dobrze gra. Teraz widać doskonale Niemców w parku, przykucnęli w grupkach za kamiennymi omurowaniami.

– Nie strzelać. Zdradzicie stanowisko ! Tu przyjdzie cekaem.

Antoni zostawia ludzi i wraca. Kamienica oczyszczona. Aleja jest tym samym w rękach polskich.

Podoficerowie zdobywają pod ... Nacierają od tyłu na opierających się Niemców.

Opanowują kamienicę po kamienicy.

Antoni zbiera koło siebie żołnierzy.Gromadzi ich w wielkiej klatce schodowej i tłumaczy dalsze działanie.Równocześnie prze[illegible],powinny siły polskie z Oleandrów

-Słuchajcie chłopcy - nerwowo poprawia pas - przelecimy się przez plac.To będzie trudne - nikt nie odpowiada,tylko schodzą uderzając stopką karabinu o kaflową posadzkę.Antoni zdaje sobie sprawę,że spada na niego odpowiedzialność za tych ludzi.Jest spokojny. - Jesteśmy wszyscy narzędziami walki - dodaje sobie tym zdaniem odwagi.

Niemcy dostali reflektor.Struga światła potykając się o nierówności,pełznie po domach i wnika w zaułki.Kilka tysięcy świec oślepia polaków na chwilę,ale natychmiast karabiny dają mu się weznaki,bo mruga i blednie.

Antoni wie,że następuje ostatni rozdział tej walki. Kto położy na nim słowo : koniec.Niemcy mają czołgi i dostarczoną broń przeciwpancerną.Słucha.Artyleria bije w barykadę.Tylko gmach gestapo w ręku powstańców oswobodzi Karmelicką.

A więc.

- Uwaga chłopcy !- wychodzi naprzód z bramy.Chmury się,skłębione nawisami nad sowińcem.Na niebie gwiazdy.Tyle gwiazd żechciałoby się zanurzyć w nich palce i ochłodzić zroszone czoło Przesuwa się,zwrocony plecami do ściany.Niebo faluje,gwiazdy lśni wtem jedna leci,przez cały nieboskłon,prosto do oczu i gaśnie w źrenicach. - Może to Jan,przypomina mu się stare wierzenie,że z każdą spadającą gwiazdą,świat traci człowieka.Przystanął.Trąca podążający za nim żołnierz.Są u wylotu.

Rozbłyski w strzałów migotliwe drzazgi nny,ranią bezustannie przestrzeń.Antoni przełyka ślinę,usiłuje złapać równ naruszoną otwartym polem,które śmierć dotknęła swym palcem.

I nie dając dojść następnej myśli do świadomości obiega róg i gna jak szaleniec do następnej bramy.Za nim stukają ty żołnierzy.Manewr się udaje.Wszyscy są bezpieczni,bo kule jak ziarnka fasoli pukają przed kamienicą.Sień napełnia się sapaniem. Jeszcze kawałek i na przecznicy trzeba połączyć się z grupą z ul Lenartowicza.Z tamtąd już tam blisko do Pomorskiej.Po schodach c łoskoczeześlizgując się po stopniach.Na półpiętrze granat obala poręcz i długo grzmi echem.Jakieś drzwi zamykają się z trzaskiem jakby porwał je przeciąg.Na górze są niemcy,żołnierze po sobie zdumieni.Antoni nie może pozwolić na zdobycie domu.Nie ma na to Spotrzega z daleka,że nieprzyjaciel w parku przycichł,wzięty pod strzał karabinu z rogu alei.Korzysta z tego i porywając za sobą resztę decyduje się przeć dalej.W mgnieniu oka,opuszczają bramę. Biją po nich pojedynczy Niemcy.Któryś zostaje,któryś kuleje i pr pada na kolano,któryś przytrzymuje hełm,nasunięty na bakier prz kulę.I tak brama po bramie dosięgają ulicy Sienkiewicza.

Antoni ściska lewe ramię.Krew wypija zielona bluza. Krew - patrzy na gęste plamy na dłoni. - Janie ,pogardziłeś taki pięknem.

Poszli znowu.Ludzi ubywało jak ziarenek w starym,wy służonym różańcu.Trzydziestu,dosyć już pokaleczonych,miało wskoc w sam środek ognia.Antoni pokładał jeszcze nadzieję na uderzeniu z flanki.Wyczekiwał pierwszych oznak,jakiegoś ruchu za parkiem. - Spóźniają się,spóźniają, - szeptał mimowoli.Stali za wyłomem mu ru.Granat zabił znowu trzech.Wychudzone policzki,zaciśnięte szcz drgają,potem z jękiem zwala się stary kapral.

- Długo będziemy czekali ? - W pytaniu Antoni wy oskarżenie.Ci ludzie nie wiedzą,że bez pomocy z Oleandrów są str ceni.Bierze karabin zabitego kaprala.W całym swoim zdenerwowani ma precyzyjne ruchy,ładuje nowy magazyn.Żołnierze patrzą na nie Chce każdą najdrobniejszą czynnością odwlec tę chwilę. - Pewnie slą,żem stchórzył.

Pełna seria londuje nad niemi obrzucając ich tynkiem i odszczypaną cegłą.

- Zapaliłbym papierosa - jakieś myśli tłoczą mu do głowy.Przymyka oczy.Wydaje mu się,że jest w drukarni ,która pracuje na wszystkie maszyny.Od stóp ma wrażenie,że stoi na dre

...anej podłodze,drżącej od hurgotu.

Padający żołnierz wytrąca mu karabin z ręki.Nawet nie usłyszał jak granat rozerwał się tuż nad głowami.Pozostali zacinają zęby.Wyglądają jak nędzarze w poszarpanych i zabłoconych ubraniach.

– No i co ? – Jest to niewyrzeczone pytanie,które rodzi się w kącikach oczu.

Porucznik Antoni ma teraz jakiś tajemny ciężar na barkach.Czuje się związany z ziemią jak stalagmit.

Gdzieś za parkiem trajkocze karabin.Później drugi.

Pomiędzy czaszką a skórą ognista rzecz.Antoni szuka po twarzach znieruchomiałych powstańców – czyta : Tchórz,tchórz,tchórz. Gmach Gestapo – myśli – trzeba skończyć natarcie .I macha ręką.

– Idziemy.Rzucają się jak smagnięci podmuchem.

Tuż przed nimi granaty.Porucznik Antoni,już nie widzi, jak Niemcy z parku pojedynczo umykają zostawiając rannych. – Gmach Gestapo,powtarza z twarzą w piasku.

Zapada w noc,zamkniętą wokół niego jak kula szklana.

Gdy przychodzi na chwilę do siebie.Sięga powoli ręką ust i ściera lepki piasek.

Powietrze gnie się od oddalających wystrzałów. – Natarcie ktoś kończy – Patrzy w ciemność i uśmiecha się wykrzywiając wargi.

– Janie ! Nie zrozumiałeś .Najpierw trzeba się bić o Polskę,– przymyka oczy.Liście z parku szeleszczą po asfalcie. – A później o swoją Polskę !

Noc jak granitowa kolumna wznosi się od niego wgórę.

Z głębi płoną budynki jak świętojańskie ogniska i kanonada ucieka szybko drogą na Katowice.

42.

W następnych numerach ukażą się wspomnienia pośmiertne o śp.Józefie Czechowiczu,Józefie Aleksandrze Gałuszcze,Stanisławie Ignacym Witkiewiczu,zmarłych tragicznie podczas działań wojennych roku 1939.